

Obóz 2013
OHŘE

hdvopty

Data: 26.7.2018 o godz 7.00

Cel podróży: (z Cieszyna) Kynšperk nad Ohří

Narzędzia zbrodni: wiaderka

Pozostały ekwipunek: wypchane do granic możliwości plecaki

Stan psychiczny uczestników:

podkrążone oczy, lecz uśmiechnięte twarze



DZIEŃ 1.

Było by kłamstwem opowiadać, jaki ładny poranek był tego dnia, ponieważ z rozpędu nawet nie zauważyliśmy, że jakiś w ogóle był. Nie zabrakło również stresu, towarzyszącego każdorocznemu pakowaniu ("Tejku kandy, jo naito cosi zapómnym! Už to widzým!"), chociaż nawet najgorzsze przekleństwa miały w sobie optymistyczną nutkę, bo to był Dzień przez duży D. Wyjeżdżaliśmy na OBÓZ.

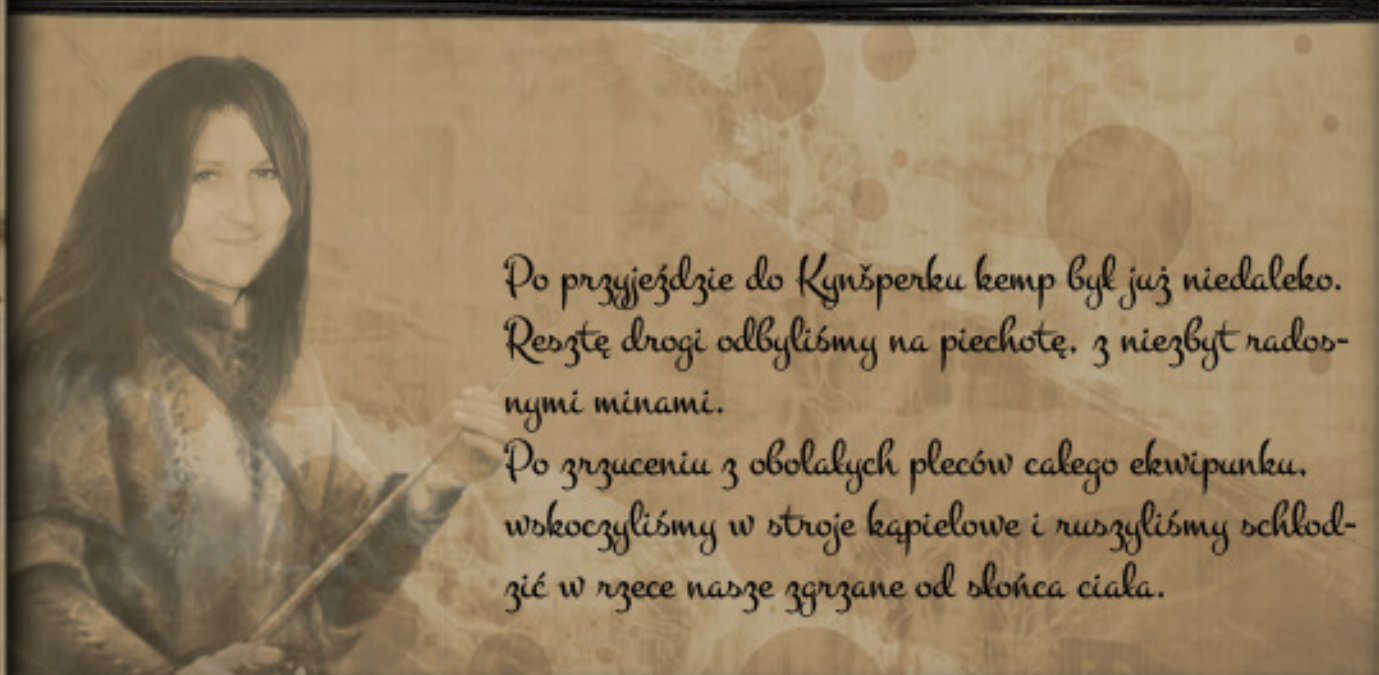


Tomasz (tegoroczny oboźny) dał nam wyraźnie do zrozumienia, że to on tutaj rządzi, nie my, a jego oblicze nie rozostawało się z pozornym wyrazem anielskiej cierpliwości. Na dworcu przywitaliśmy się ze wozzytkami, czasem entuzjastycznym, czasem półgębkowym "cześć". Już tylko dla zachowania rutyny powtórzyliśmy jak strasznie jesteśmy zmęczeni, ucałowaliśmy kochanych rodziców i z minami łowców przygód wsiedliśmy do pociągu.



(W drodze nie zapomnieliśmy o zdjęciu pamiątkowym dla Jaca w Pradze Libeň, wielkim problemem za to było dla niektórych opróżnienie półtora litrowej butelki z wodą (w oczach naszego oboźnego było to czymś gorszym niż zbrodnia). Podróż spędziliśmy na rozmowach, obżeraniu się, odpoczynaniu, obżeraniu się, grach i obżeraniu się. Tegoroczną atrakcją było zaplatanie bransoletek przez Dankę i Aoię. Mało brakowało a stała by się naszym symbolem rozpoznawczym (bo prawie każdy ją w końcu miał). Centrem plotek okazał się w tym roku mały wredny przedmiot, nazywany przez kadrę wdzięcznie "Łojzka", a przez nas znienawidzonym od pierwszego lojzkowania - pompkowania.





Po przyjeździe do Kynšperku kemp był już niedaleko.
Resztę drogi odbyliśmy na piechotę, z niezbyt rados-
nymi minami.

Po zrzuceniu z obolałych pleców całego ekwipunku,
wskoczyliśmy w stroje kąpielowe i ruszyliśmy schłod-
zić w rzece nasze zgrzane od słońca ciała.



Na apelu dowiedzieliśmy się, co w tym roku poprowadzi naszymi czynami - odwaga, siła i magia, ponieważ tematem był "Hraničárův učeň". Mofik jako Will, Tomasz jako Halt z resztą kadry (Basią, Kają, Bastem, Darem, Fifczem, Krzeczkiem, Ewką i Władem) pokazali nam scenkę wprowadzającą, żebyśmy zorientowali się w sytuacji. Reszta dnia zleciała bardzo szybko. Rozbiliśmy namioty, przygotowaliśmy kuchnię i ognisko, wieczorem spędzili trochę czasu śpiewaniem piosenek przy ognisku i położyliśmy się spać.





DZIEŃ 2.

"Pocobudka, pocobudka wstać, do higieny osobistej się przygotować! Czas - 2 minuty!" - krzyczał Tomasz, podczas gdy my gramoliliśmy się ze śpiworów na wpół śpiąc, wkładaliśmy buty, szukaliśmy szczerotek do zębów i sprintem dołączaliśmy do rzędu podobnie potarganych czupryn jak nasze. Spóźniłeś się? Pięć pompek. Spóźniłeś się bardzo? Dziesięć pompek. Po tygodniu świetnie opanowaliśmy umiejętność obozowego wstawania, chociaż o pobudkach zaczynało nam się nawet śnić.



POKRY

Dużo rozrywki dostarczyła nam gra, utożsamiająca nas z wierzchowcami, które towarzyszyły zwiadowcom w czasie ich podróży. Śmiechu było co niemiara. Zadaniem "konia" było obiegnać (z jeźdźcem na plecach) trasę przez most i rzekę, spowrotem do swojej wachty, gdzie został poczęstowany jabłkiem (którego zjedzenie po czasie przestało być dobrowolne, a żołądki zaczynały cierpieć). Przewoźnicy na swej drodze potykali się z zadaniami, czasem łatwymi, czasem do polamania głowy. Kiedy nie potrafili go rozwiązać, zwracali się o pomoc do pozostałych członków wachty.



DZIEŃ 3.

Prawdziwym wyzwaniem tego dnia, było narysowanie jak najładniejszego herbu. Do dyspozycji mieliśmy szeroką paletę kolorów a zasada była prosta: można malować wszystkim tylko nie rękami. W dodatku każdy z nas został użyty jako wielki pędzel, zaniesiony przez wachtę do erbu i użyty do narysowania dzieł wręcz artystycznych. Chociaż większość rysowała nogami, jakimś cudem po dokonanej zbrodni byliśmy cali uwalani w farbie.





W późniejszym strzelaniu z łuku duża część z nas okazała się Legolasami juniorami, albo chociaż bardzo skupionymi uczniami. Mieszkańcy Araluenu byli by z nas dumni!





Pobyt v Kynšperku niestety dobiegł końca, spakowaliśmy więc nasze "saki-paki", namioty, ułożyliśmy wszystko do kajaków i ruszyliśmy w dalszą drogę (=> Kynšperk Sabina). Nie obyło się bez kojtek, śpiewów, jeźów, stopni, ochlapywania wodą i plotkowania. Przez cały obóz pogoda była bardzo słoneczna, obowiązywał więc FAKTOR 5 (nakrycia głowy, koszulki z krótkim rękawem, szorty, pełne buty).





Po dojeździe i po wyrzuceniu kotwic z naszych stateków, ponownie rozbiliśmy obóz. Później mieliśmy stanąć przed sprawą życia i śmierci...

"Trzeba spalić most a jego szczątki wrzucić do wody" - tak brzmiało nasze zadanie tego dnia.

Narzędzia do dyspozycji: kawałki drewna, zapalniczka, kamienie

Uczucia: zimna determinacja i adrenalina w krwi

Na każdej części (wymagowanego) mostu mogła stać tylko jedna osoba, która biegnąc albo w stronę ogniska (wtedy brała kawałek drewna i kładła go na małym stosie), albo w stronę oznuru (który przecinała kamieniem), przyczyniała się do zwycięstwa wachty. Udało się wszystkim, a zwyciężyła wachta Jacka.



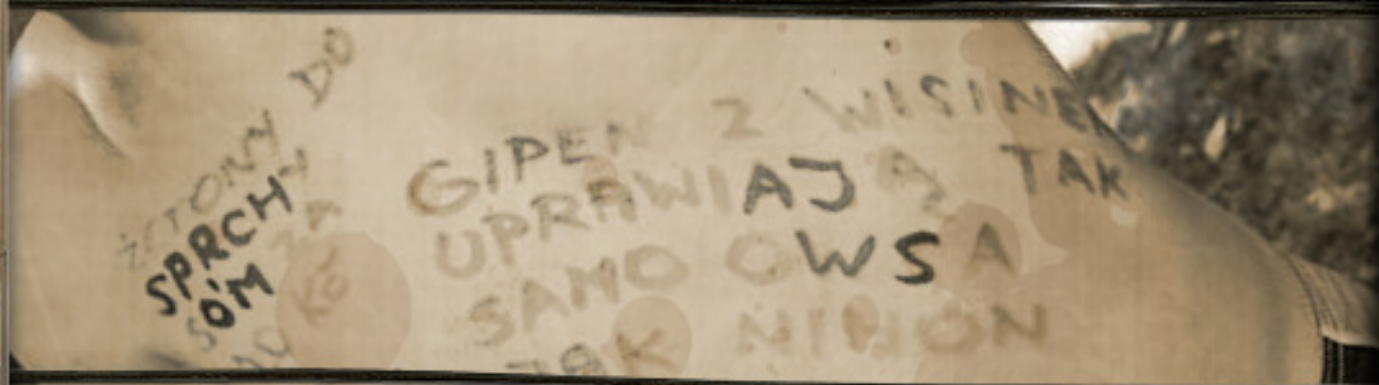


Wieczorem spędziliśmy przyjemnie czas przy ognisku, śpiewając piosenki ("I smak waszych ust hiszpańskie dziewczyny w noc ciemną i złą nam będzie się śnił...". "Ramię przeź, skabobć krusz i nie zawiedź w potrzebie, podaj swą pomocną dłoń, tym, co liczą na ciebie...") i grając gry. Zасыpiając myśleliśmy o etapie, który czekał nas jutrzejszego dnia, jednak niektórzy byli zbyt zmęczeni, żeby w ogóle myśleć.



Tegoroczni chrzestowicze: Iza i Iza, Irka, Kacper, Ania,
Bea i Basia





SZTUKA NEGOCJACJI

Mofik wykazał się wielką odwagą, pozwalając by zrobiono z niego żywy arkusz z indycjami, które wypisane miał po całym ciele. Zadaniem było wydobyć z niego te indycje - drogą rozejmu albo.....drogą nie-rozejmu. Przy powalaniu go na ziemię latały komendy, polecenia, a czasami też zęby. Oczywiście było by łatwo, gdyby nie siła "Willa" i parę indycji-fejków, które wprawdzie nie dotyczyły gry, ale możliwe było dowiedzieć się dużo interesujących rzeczy (obożny nosi tanga).



WOODOO

Zadanie na pozór było proste: Wykonaj lalkę woodoo z tego, co zaoferuje ci przyroda. Popatrzyliśmy po sobie niepewnie. Lalki woodoo? Do czego będzie nam potrzebne takie coś? Kaja jednak nabrała wody w usta, i dobrze, bo zdradzając nam powód naszego kreatywnego wybicia, zniszczyłaby całą jutrzejszą grę.

(Wykonane przez nas lalki woodoo były o tyle bardziej upiorne, że można było dowiedzieć się z nich co nieco o danej osobie. Mofik jako obozowy psychomaster wyżył się na lalce Anet.)

MACINDAW (gra całonocna)

Pewnego dnia kadra zebrała nas wszystkich na placu i ruszyła z nami ścieżką, prowadzącą do lasu (o czym jeszcze nie wiedzieliśmy). Narazie nikt niczego nie podejrzewał, niektórzy sunęli nogę za nogą, inni dziarsko maszerowali, podśpiewując pod nosem. Dopiero na miejscu pojęliśmy w całości cel wycieczki i produkcję woodoo lalek. Nasze lalki były w tej chwili sprawami naszego życia i śmierci. Trzeba ich było strzec niczym oka w głowie. Porozstawiane były po lesie, uczepione do drzewa, wraz ze świecącymi bransoletkami, żeby można ich było zobaczyć nawet po zmroku. To byli "ludzie", których trzeba było bronić. Naszą bronią była szybkość, zwinność, otwarty umysł oraz bezszelestne poruszanie się po okolicy. Kiedy ktoś z kadry, czyli groźni najeźdźcy Skotijcy, poruszał się za blisko, trzeba go było dopaść (czasami i stłuc – zdarzały się takie przypadki). Była masa mniejszych grup, każda strzeżyła 2 albo 3 lalki. Po czasie zaczęliśmy całkiem nieźle widzieć w ciemności, toteż jeszcze bardziej wczuliśmy się w nasze role obrońców sprawiedliwości. Wojtek nawet tak się wczuł, dopadając złodzieja, że zgubił w rowie but. Niejeden raz – z naszą później już dosłownie obsesją ochrony reszty lalek – zdarzało nam się napadać na własnych ludzi.

Po skończonej grze byliśmy wypełnieni emocjami po brzegi, niektórzy tak bardzo, że ledwo żywi dopełzali do śpiworów, niektórzy tak bardzo, że musieli obgadać wszystko jeszcze raz, od początku do końca. Rankiem zjedliśmy śniadanie i wróciliśmy do obozowiska.



EWANGELIA

W Vojkovicach spotkało nas pewne wydarzenie. Wydarzenie niezwykle, które na zawsze zapamiętamy. Pewnego dnia, kiedy akurat mieliśmy wolne, z nieba poleciał deszcz... właściwie deszczyk, letnia mżawka. Trochę się nawet cieszyliśmy, może rozpada się trochę więcej i będziemy mogli spędzić czas na rozmowach w namiotach. Niestety mżawka po krótkim czasie zamieniła się w coś więcej niż deszcz... a deszcz zamienił się w coś więcej niż szalejącą burzę. Otóż kiedy wiatr zaczął odnosić nasze namioty, a w namiotach z kolei człapał się po kostki w wodzie, zrozumieliśmy, że trzeba niezwłocznie działać.

Całe szczęście siły miasta nie zawiodły i wysłały po nas dwa samochody strażackie, które zawiozły nas do pobliskiej szkoły. Wszyscy dyskutowali jak się sprawy potoczą. Czy jutro też będzie padać? Czy wrócimy do kempu? Czy pojedziemy do domu? Po głowach krążyło nam mnóstwo pytań, jednak nikt nie chciał udzielić nam odpowiedzi...nawet kadra była zdezorientowana.

Rozpakowaliśmy mokre rzeczy, porozkładaliśmy spiwory i chcąc nie chcąc poszliśmy spać. Rankiem oczywiście wróciliśmy do obozowiska, ogarnęliśmy balagan, jaki stworzyły walczące żywioły i kontynuowaliśmy tam, gdzie skończyliśmy (oczywiście po lożkowaniu za zgubione rzeczy i inne wybryki).

Po zrzuconiu z obolalych pleców całego ekwipunku, wskoczyliśmy w stroje kąpielowe i ruszyliśmy ochłodzić w rzece nasze zgrzane od słońca ciała.



W związku z tym, że obóz zaczął dobiegać końca, poświęciliśmy ostatnie dni na:
zabicie zdrajcy; wczucie się w role bardów; finałowe ognisko,
prezentację naszych muzycznych wypocin i mega żranicę





Przedostatniego dnia, a właściwie wieczoru, usiedliśmy wszyscy wokół ogniska. W każdym z nas była duża dawka podekscytowania, radości, ale też smutku, że ta wspaniała przygoda już się skończyła. W milczeniu obserwowaliśmy gorące płomienie i słuchaliśmy pękania drewna (strażnikami ognia tego dnia byli Kasia i Szarka). Później harcerze przywitani w swym gronie czterech nowicjuszy - Chorza, Dode, Michała i Elomela. Przyjechała nas również odwiedzić siostra Jurka, Kasia, która po wakacjach miała (po raz drugi) do nas dołączyć. Nie obyło się też bez piosenek, które na swój sposób były tak nostalgiczne, że było mi jeszcze bardziej żal, że obóz nie trwał choć o drobinę dłużej.

Nagrodą za te smutne myśli były jednak torby pełne żarcia, do których z chęcią wskoczyliśmy (nie obyło się bez kontroli co inni mają w swoich torbach).

W czasie wolnym mieliśmy
umówić się w wachtach i
w piosence podbumować cały obóz.
Maszka brzmiała następująco:

Ref:

Hej bo na Ohrzi mómy
perzejki, jezy a stopnie.
ani se nie musiszz koptać.
stejnie cały zmokniesz.

1. Zeszli my se na bankhofie
každy z baglym po oto kilo.
nikiere taki narwane
jakeby tam byl kilof.
2. Roz nóm na jednym etapie
zaczylo z kraja troche kropić.
Anet z Basióm okóńczyły deszcz
bo se zaczyły topić.
3. W kempie z hrziszczym fotbalowym
bylo bewuczek że aż otrach.
no bo Doda z gwizdkym nowym
gwizdaka na poplach.
4. Alarm byl dość jednoduchy.
wzyscy nóm go hneł zeznali.
wylecieli za Fiszkusym.
do nosa mu dali.
5. W Vojkovicach bylo mokero.
po kostki wody we stanach.
"Obożny, piskej szalupak!"
cało banda rzwała.
6. W dalozym kempie bylo fajnie.
lecz we stanach syf my mieli.
Tomasz zapiskol szalupak.
hneł my odpłyneli.



DROGA POWROTNA

Przez większość podróży spaliliśmy, niektórzy jednak w pośpiechu kończyli swój przydział pompek (a że niektórzy mieli ich powyżej setki - nie był łatwo). Na szczęście droga trwała bardzo długo, dlatego wszyscy zdążyliśmy. Kiedy zbliżaliśmy się do dworca kolejowego, rozpoczęliśmy nową serię śpiewów (zwłaszcza dużą popularnością cieszyły się "Cykady na Cykladach").

Z pociągu wystąpiliśmy dumni, osmagani wiatrem, opaleni, a zwłaszcza widoczne były szczerze uśmiechy na naszych twarzach. Ta przygoda się skończyła, ale przecież w przyszłym roku rozpoczniemy nową.

Żegnaj rzeko Ohrze, niech fale biją w brzeg.....
Basia i Kaja

